

Chocholy



# Chochoty

Wit Szostak



**powergraph**

Warszawa 2018

Copyright © 2010-2017 by Wit Szostak  
Copyright © 2017 by Powergraph  
Copyright © 2017 for the cover by Patrycja Podkościelny  
Wszelkie prawa zastrzeżone.  
All rights reserved.

Redaktor prowadząca serii: Kasia Sienkiewicz-Kosik  
Redakcja: Kasia Sienkiewicz-Kosik  
Korekta: Maria Aleksandrow  
Skład i łamanie: Powergraph  
Ilustracja na okładce: Patrycja Podkościelny  
Projekt graficzny i opracowanie: Rafał Kosik

Wyłączny dystrybutor:  
Firma Księgarska Olesiejuk Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością  
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki  
tel.: +48 22 721 30 00  
[www.olesiejuk.pl](http://www.olesiejuk.pl)



Wydawca:  
Powergraph Sp. z o.o.  
ul. Ceglowska 16/2, 01-803 Warszawa  
tel.: +48 22 834 18 25  
[powergraph.pl](http://powergraph.pl)  
e-mail: [powergraph@powergraph.pl](mailto:powergraph@powergraph.pl)

**ISBN 978-83-64384-83-7**

Druk: Białostockie Zakłady Graficzne SA  
Printed in Poland, EU

*Dla Eli, oczywiście*



**Część I**  
**ARCHE**





Przez całą noc wędrowałem po snach moich bliskich.

Cicho i boso snułem się po całym Domu, nawiedzając kręte korytarze, kolejne schody i pokoje; skrzypiące antresole i zastawione książkami galerie; przedpokoje pełne niepotrzebnych mebli i zagracone składy zapomnianych przez wszystkich pamiątek; krążyłem po całej kamienicy, od grobowców w piwnicach po kaplicę na strychu. Błądziłem po domowych agorach, pomiędzy fotelami i krzesłami, mijając wypłowiałe sofy i stoliki przykryte haftowanymi serwetami. Pokoje te, w dzień wysycone rodzinnymi rozmowami, rozbrzmiewające odgłosami telewizorów, teraz odpoczywały, opustoszałe. Siedziska wracały do dawnych kształtów, przeoczone plamy z herbaty schły na obrusach, stare drewno wypaczało się bezgłośnie. Zapuszczałem się w długie, wąskie kuchnie, pełne wyblakłych zapachów, wspomnień po minionych posiłkach i zastygłych w zakamarkach kuchenek smaków. Moje stopy dotykały dywanów i kamiennych posadzek, parkietów i skrzypiących dębowych podłóg, przekazując mi miękkość wykładzin i chłód kamienia, aksamit kurzu i szorstkość kłębków psiej sierści. Brnąłem przez gęsty rodzinny labirynt, spletaną topografię intymnych więzi

i tajemne osnowy ludzkich losów. Przekradałem się pomiędzy chrapaniami i westchnieniami, wyczulony na cudzą bezsenność i nocne namiętności.

Nocą, kiedy codzienne życie Domu zamiera, jego ukryte w murach serce bije cicho i niezauważenie, krążąca w ścianach krew krzepnie, a ciemność zmienia oswojone za dnia kształty. W sodowej poświacie ulicznych latarni meble koślawią się niezauważenie, w mroku kryje się pielęgnowana za dnia zwyczajność, obrzędowane bez końca rytuały zadomowienia. Posiłki i powitania; zagadywanie o przebieg dnia; zatroskanie cudzym zdrowiem; omiatanie kątów i podlewanie kwiatków; zamiatanie okruszków i przecieranie stołu; nakręcanie zegara i parzenie herbaty; siedzenie w fotelu i oczekiwanie na prognozę pogody; martwienie się; czekanie na telefon, na telefony; telefonowanie; nawiązywanie rozmów i opowiadanie o swoim życiu, o chorobach, o zmartwieniach, o sprawach minionych i nieistotnych; planowanie posiłków i głaskanie psów; utyskiwanie na sąsiadów; cieszenie się sobą i bliskością krewnych, smucenie się ich nieobecnością; oczekiwanie.

Nocą światła samochodów przetaczają po sufitach obce wzory. Wtedy ze szpar w podłodze, ze szczelin pod drzwiami i przez dziurki od kluczy wysnuwają się rodzinne tęsknoty i marzenia. Trzymam w dłoni kubek z wystygłą herbatą, pijam cicho. Sny jak fusy tańczą wokół mnie, osadzając na mojej twarzy niewidoczną pajęczynę. Co chwila muszę przecierać ją palcami, ściągać jak przeźroczystą maskę, zgarbiać jak warstwę lepkiego kurzu. Tej nocy nie słyszę historii i sennych opowieści, nie wnिकam w przetworzone przez stłumione odgłosy miasta wiotkie majaki. Czuję na twarzy jedynie strzępy śnionych emocji, pod powiekami wykwitają niemożliwe do nazwania barwy, a na języku osadza się odległy posmak innych światów.

Czasem pod stopami zaskrzypi wysłużony stopień albo obluźowana klepka. Zastygam wtedy w pół kroku, pozwalam dźwiękowi wybrzmieć, wpleść się w cudze sny bez

zdradzania mojej obecności. Wstrzymuję oddech, zastygam i czekam, aż ta dźwięcząca w nocnej ciszy chwila zostanie przysypana przez kolejne kapiące leniwie sekundy. Wtedy spomiędzy pomrukiwań kaloryferów i rur, szumów pracujących mozolnie lodówek wyławiam echa śnionych odgłosów. Odpryski toczonych pod powiekami rozmów i wewnętrznych monologów wplatają się we wzory tapet, gubią się w fałdach firanek i zastygają w splotach pajęczyn. Pojedyncze słowa, kęsy zdań wnikają w tkanę Domu, prawie niepostrzeżenie wchodzą w jego spowolnione nocą tętno. Zamiast kraść pojedyncze sny, przyglądam się temu procesowi, swoją bezsennością wyłączony z prawdziwego życia mojej rodziny.

Starożytne zegary nabijają rytm dla moich kroków, co kwadrans odzywają się metalicznie spiżowe gongi. Choć w ciszy nocy ich głos niesie się pomiędzy kondygnacjami, nikt się nie budzi, gdyż moi bliscy od lat przyzwyczaili się do tych dźwięcznych znaków przemijania. Dla mojej wyostrojonej uwagi każdy kwadrans rozbrzmiewa jak wybuch. Serce na moment wytracone zostaje z ustalonego rytmu, całe ciało zamiera na ułamek chwili. Liczę upływające godziny, przedświt zbliża się nieubłagane. Nocą czas biegnie inaczej, przesuwa się w ciemności, nadrabia dzieńne rozleniwienie.

O tej porze sen jest najgłębszy, a sny najgęstsze. Czuję zawiesistość splątanych wrażeń i wątków, intensywność śnionych przez moich bliskich emocji. Sny wydzielają zapachy, które gęstą zawiesiną otulają łóżka śniących. Krążę szlakiem znaczonego drzwiami ich sypialni, wybierając sobie, kogo dziś odwiedzę. Czasem mijam ich pokoje po kilka razy, nie mając pewności, czy to odpowiedni moment. Długo się zastanawiam, nawracam uporczywie jak nocna zmora, aż wreszcie stoję przed pomalowanymi na biało skrzydłami, które bronią dostępu do mieszkania Ani, mojej stryjecznej siostry.

Drzwi są wysokie, jak wszystkie w tej części domu. Naciskam powoli klamkę i czekam na szczęknięcie zamka. Jestem przygotowany na ciche skrzypnięcie otwierającego

się skrzydła. Przede mną pograżony we śnie salon mojej kuzynki. Pośrodku szklany stół z metalowymi krzesłami, głębiej długa jasna kanapa i wygniecione od siadania fotele. W kącie czarny, ślepy ekran telewizora. Pokój jest pusty, surowo urządzony. Brak mebli, poza niezbędnymi do przyjmowania gości. Na ścianach powiększone zdjęcia, zrobione przez Anię w Bośni i w Czarnogórze. Tafle antyram łapią światło z korytarza, prostokątne płaszczyzny lśnią srebrzyście. Pomędzy nimi kolejne drzwi, jasny prostokąt odcina się od melancholijnej ultramaryny ścian. O tej porze nocy z kolorystycznego napięcia pozostał tylko głęboki kontrast. Przyzwyczajam oczy do ciemności i spokojnie spaceruję po pokoju. Przymykam powieki i sprawdzam, czy moje ciało pamięta rozkład mebli. Prześlizguję się pomiędzy stołem a fotelom, biodrem zawadzam o niedosunięte krzesło. Przez spodnie czuję ostrą krawędź metalu. Jeszcze dwa kroki i kolanem dotykam kanapy. Zawracam i krążę dalej. Oczy rozpoznają na fotografiach znane z dziennych odwiedzin widoki, pamięć podsuwa gotowe obrazy. Jeśli uda mi się bez zawadzania o nic, po omacku, okrążyć jeszcze raz stół, będę gotowy, by przejść dalej.

Sprzęty są dla mnie łaskawe, usuwają się spod nóg. W końcu stoję przed drzwiami do sypialni. Lekko uchyłone, na tyle wypaczone, że nigdy nie da się ich domknąć. Stoję przed nimi, nasłuchując. Nie dochodzą do mnie żadne szmery, natężając się, łowią bezgłośny, równy oddech Ani. Czekam na kolejne tchnienia, spowolnione, zmuszające mnie do powstrzymywania powietrza w płucach. Kiedy już zrównają się nasze rytmy, palcem trącam ostrożnie drzwi. Te uchylają się z lekkim skrzypieniem. Nie wchodzę jednak od razu. Patrzą na pokój, wyławiam z ciemności jaśniejsze plamy. Zasłony są tu cienkie, przez wzorzysty materiał przenika zaokienne światło. Pomarańczowa poświata wydobywa z mroku kształty mebli i topografię pomieszczenia. Na wprost regał z książkami, obok niego sofa. Na sofie gazety, brudny talerz, torebka. Patrzą na porozrzucane po podło-

dze buty i ubrania, krzesło obwieszane bluzkami, rajstopami i bielizną, biurko ugięte pod stertami papierów, teczek i segregatorów. Jest ciepło, moja kuzynka nie lubi marznąć, kaloryfer zawsze odkręca do oporu. Stoję na pograniczu między chłodem korytarza a sennym gorącem uderzającym w twarz.

Ania jest dwa lata starsza ode mnie, już kilka lat temu przekroczyła trzydziestkę. Samotna, kiedyś miała chłopaka, ale im nie wyszło, nie lubi o tym mówić, troskliwe zapytania rodziny o ślub nauczyła się zbywać żartami. Nie wytrzymała na studiach, wyjechała na kilka lat za granicę, do pracy, aby poznać nowych ludzi, zobaczyć kawałek świata. Siedziała w Anglii, potem trochę w Irlandii. Wróciła z niewielkimi oszczędnościami, starczyło na używany samochód i remont dwupokojowego mieszkanek w naszym Domu. Po kilku miesiącach bezczynności zaczęła pracować w jakiejś organizacji pozarządowej. Kilka razy zmieniała pracę, wspierając chore dzieci, uchodźców, więźniów politycznych. W końcu znalazła przystań w fundacji wspomagającej państwa bałkańskie. Wielokrotnie jeździła do Sarajewa, pisała raporty o zmianach zachodzących w Bośni i Hercegowinie, na bieżąco przyglądała się ostatnim wydarzeniom w Kosowie. Wiedziałem, że niektóre wyjazdy sporo ją kosztowały. Wracała potem oklapnięta, na kilka tygodni popadała w apatię, mechanicznie wykonując powierzone jej obowiązki.

Do perfekcji opanowała umiejętność nieprzebywania z samą sobą. Jej mieszkanie do późna pełne było gości albo ona zniknęła na kilka nocy. Kiedy wreszcie zostawała sama, słuchała muzyki, w kącie ciągle błyskał ekran telewizora. Chwile ciszy wypełniała rozmowami przez telefon. Wreszcie padała znużona do łóżka, następnego ranka złowieszczo i za późno budzona przez ostry sygnał budzika.

Niekiedy jednak wracała ożywiona, w oczach miała iskry, z wszystkimi żartowała, przesiadywała we wspólnych pokojach i rozmawiała z babciami. Choć była bardzo zaangażowana w swoją pracę, nie lubiła o tym opowiadać. Dla rodziny

miała kilka gotowych historii, wygładzonych od ciągłego opowiadania. Mówiła wtedy rzeczowo, z przejęciem, ale nieco nienaturalnie, jakby czytała z książki lub recytowała zapamiętany w szkole poemat.

Czasem jednak zapraszała kóregoś z braci lub kuzynów na rakiję i wtedy wyrzucała z siebie potoki słów. Piliśmy pędzoną w Sławonii śliwownicę i słuchaliśmy historii z innego świata. Kiedy wypięła trochę więcej, przechodziła na swój prywatny dialekt, którym porozumiewała się tam, w krajach byłej Jugosławii. Szorstka mieszanina serbskiego i rosyjskiego, czasem przełamana kalkami z polskiego. W tym języku cytowała zasłyszane opowieści. Ta dziwna mowa, pod wpływem alkoholu czasem tracąca swą naturalną śpiewność, potęgowała w nas wrażenie tajemnicy, którą spowite były Bałkany. Wyobrażając sobie opowieści Ani, zawsze widziałem ziemię szarą, mroczną, horyzont rozjaśniany wybuchami. Oglądałem jej oczyma biednych ludzi bez domów, zamieniane pola i zrujnowane miasta. Obrazy były czarno-białe, jak zdjęcia wiszące w salonie. Po rakii powojenny świat dawnej Jugosławii nie miał żadnych jasnych barw. W wakacyjnych planach instynktownie unikałem tego mrocznego półwyspu, żałując po cichu, że nigdy nie zobaczę czerwonych dachów Dubrownika, węzowych zakrętów Boki Kotorskiej i strzelistego mostu nad Neretwą. Po takich spotkaniach wracałem do swoich pokojów zeszywniały, przesiąknięty papierosowym dymem. Zasypiałem na schodach, budziłem się w łóżku, nigdy rankiem nie czułem bólu głowy.

Zegar na dole wybija kwadrans. Klatkami schodowymi pojedynczy dźwięk gongu unosi się na kolejne piętra, wnika w korytarze, przeciska się nad progami do pokojów, aż wreszcie dociera do sypialni Ani. Czuję jego uderzenie na plecach. Znowu zastygam w bezruchu, znów przyspiesza mi serce, spowolnione przed chwilą i zsynchronizowane z oddechem mojej kuzynki. Muszę odczekać jakiś czas, powrócić do dawnego rytmu. Kiedy mi się to wreszcie udaje, ostrożnie robię kilka kroków. W głębi pokoju, na wprost

okna, stoi duże łóżko. Proste, metalowe, czekające na drugą osobę. Podchodzę do zimnej poręczy. Na środku, odkryta do pasa, leży Ania. Wokół niej kołdra kłębi się jak na barokowych obrazach, owijając się wokół bioder. Śpi nago, ręce ma wyrzucone nad głowę, twarz tonie w puchatej poduszce. Jej piersi unoszą się w powolnym oddechu. Patrzę na lekko otwarte usta, na policzek znaczony pręgami po zmiętej pościeli, na płowe włosy w nieładzie. Śniada, pośrodku dużego łóżka, zaplątana w połyskującą tkaninę.

We śnie nie widać jej za długich nóg i tego, że na jawie porusza ramionami w niezgrabny sposób. Nie widać w tym świetle niewielkich pieprzyków na dekolcie. Noc zakrywa te wszystkie szczegóły, które podglądaliśmy wiele lat temu. Trwały rodzinne wakacje, z jej braćmi, Pawłem i Andrzejem, snuliśmy się za Anią jak cienie. Miała wtedy piętnaście lat, rankami brała koc i szła przez las na odkrytą przez siebie polanę. Nie mogliśmy się doczekać, aż skończy jeść śniadanie, ponaglałem w myślach każdy kęs chleba, który brała do ust. Jadła wolno, jakby rozmyślnie nas rozdrażniając, choć w rzeczywistości była po prostu niejadkiem. Jeszcze tylko ostatni łyk mleka, otarcie białych wąsów, mycie zębów, koc, jakiś olejek, książka pod pachę. Codzienne gesty dłużyły się jak szkolne lekcje. Wreszcie wyruszała, niknęła na ścieżce pomiędzy świerkami, a my, inną drogą, ruszaliśmy w tym samym kierunku.

Polana, pełna borówek, kwiatów i brzęczenia pszczoł. Tam Ania opalała się nago, a my, odurzeni, podglądaliśmy ją spomiędzy paproci. Mieliśmy radziecką lornetkę, uczyliśmy się jej ciała na pamięć, studiowaliśmy każdą wypukłość, każdy pieprzyk, każdy włos. W myślach układałem sekretną, zakazaną mapę jej nagości. Ania była w tym wszystkim niewinna i nieostrożna, bezpieczna swą pozorną samotnością. Przyjmowała na swym zatopionym w wysokiej trawie pośłaniu wszelkie wyśnione przez nas pozycje, przeciągała się, smarowała olejkiem, czasem drapała, z zadowoleniem przyglądając się opaleniznie. Gorące godziny kapały jak

miód, byłem w siódmym niebie. Koniki polne grały oszalał-  
miająco, zagłuszając nasze ciężkie oddechy i wyszeptywane  
spieczonymi wargami słowa. W gardłach zasychało nam  
od wrażeń, chyba nigdy wcześniej i nigdy potem nie mia-  
łem takiego doświadczenia intensywności życia, głębokiego  
wejścia w tkanę rzeczywistości. Byłem łąką, źdźbłami  
kołysanymi przez lekkie podmuchy wiatru, byłem cieniem  
rzucanym przez strzeliste świerki, ostrym, żywicznym zapa-  
chem igliwia. Kochałem wtedy Anię cichą i płomienną  
miłością, snując skazane na porażkę plany, osładzając swe  
nieziszczalne marzenia naszym dalszym pokrewieństwem.  
Paweł i Andrzej się nie liczyli, oni byli jej rodzonymi brać-  
mi, a ja tylko kuzynem, stryjecznym bratem, prawie obcym.  
Pamiętam, że obecność kuzynów zaczęła mi przeszkadzać.  
Nie byłem zazdrosny, w końcu to przecież jej bracia, ale  
wolałem przebywać z nią sam na sam, czułem powagę tej  
niedopuszczającej nikogo niepowołanego intymności. Nie  
mogłem ich jednak przegonić, nawzajem byliśmy zakład-  
nikami naszej winy. Na szczęście po tygodniu znudzili się  
siostrą i zostawiliśmy tylko we dwoje. W myślach układałem  
nasze wspólne życie aż do późnej starości. Do dzisiaj nie  
wiem, czy Ania miała świadomość naszej obecności. Choć od  
tamtego sierpnia minęło prawie dwadzieścia lat, nie zdoby-  
łem się nigdy na wyznanie prawdy. Chyba do dziś patrzę na  
Anię oczami tamtego chłopca, nic nie usunie tamtych obra-  
zów i towarzyszącego im łomotu serca.

Przed obiadem uciekaliśmy do chaty i potem każdy z nas  
pilnował się, by się przed nią nie zdradzić. Dlatego też wie-  
czorami unikałem spotkań i rozmów z Anią, udawałem, że  
mam własne sprawy i zapamiętałem strugając finką jakies  
niepotrzebne nikomu patyki, co chwila szukałem jej oczami.  
Z cienia przypatrywałem się temu, jak chodzi po polanie,  
jak pomaga nacinać kiełbasę na ognisko, jak wierzchem  
dłoni ociera łyzy przy krojeniu cebuli albo jak na ganku przy  
bladym świetle lampy naftowej czyta książkę. Wokół jej  
głowy tańczyły owady. Ćmy uderzały o rozjarzony klosz.



Było lato, Ania ubierała luźne sukienki, bawełniane bluzki na ramiączkach. Czujnie łowiłem wzrokiem każdy kawałek jej ciała ukazujący się w wycięciu dekoltu, gdy się pochylała, prześwitujący przez lekki materiał, gdy stawała między słońcem a mną, zaznaczający się pod bluzką, gdy odchyłała się w tył na bujanym fotelu. Moja wyobraźnia malowała resztę tej tajemnej topografii, szkicując krzywizny i zagłębienia troskliwie przechowywane przez pamięć. Przez cały dzień nie wychodziłem z ukrycia, patrzyłem, udając, że nie patrzę. To ja byłem patrzącym, a ona tą, na którą się patrzy i nie mogłem dopuścić, by role się odwróciły; nasze spojrzenia się nie krzyżowały. Otaczała nas pulsująca muzyka pasikoników, poszarpana linia lasu odcinała się od rozgwieżdżonego nieba, a w dole usypiała Łopuszna.

Myśle, że tam się wszystko zaczęło. Na miesiąc zjeżdżała się cała rodzina, wujkowie, ciotki, gromada kuzynów. Mieszkaliśmy w chałupie wynajętej od krewnych babci Marii, na hali ponad wsią, dzieci spały na strychu, rodzice w dwóch przestronnych izbach. Kuchnia polowa, warzywa kupione od gospodarzy, weki z mięsem, koniec lat osiemdziesiątych. Chodziliśmy po Gorcach, zbieraliśmy grzyby, opalaliśmy się i spacerowaliśmy po lesie. Kiedy padał deszcz, wszyscy czytali książki albo grali w karty. Tam nauczyłem się brydża, stryj Piotr i ciotka Magda potrafili grać do rana. Wujkowie prowadzili niekończące się dyskusje o polityce, co sierpień roztrząsano upadający system, rewolucje przetaczały się przez drewnianą chałupę każdego wieczoru. Co dwa dni schodziliśmy do sklepu, co niedziela do drewnianego kościółka Przenajświętszej Trójcy, 15 sierpnia maszerowaliśmy pod Turbacz. Miałem trzynaście lat i głębokie przekonanie, że staję się mężczyzną, Ania była piękna, mnie wystarczyło to niespełnienie. Wszyscy byliśmy jakoś blisko siebie. Mieliśmy o czym rozmawiać, nie pamiętam, by ktokolwiek się nudził. Było dobrze. Ten Dom, po którym teraz chodzę, meandrując pomiędzy snami moich bliskich, to tylko konsekwencja

tamtych wakacji, tych tygodni spędzanych na wspólnych rodzinnych wyjazdach. Właśnie wtedy to się musiało zacząć.

Ania przewraca się na bok. Składa dłonie jak do modlitwy i kładzie na nich policzek. Mlaska kilka razy, oblizuje spierzchnięte wargi, wciąga głęboko powietrze, jakby przyzywała kolejny sen. Śliska pościel ześlizguje się po biodrze. Podchodzę bliżej i delikatnie, by jej nie zbudzić, naciągam koldrę na jej ramiona. Porusza się pod ciężarem puchu, ale się nie budzi. Jeszcze tylko sprawdzam, czy nie zapomniała wyciszyć telefonu, po co ma ją budzić z samego rana. Niech się nie budzi, dopóki sama nie zechce.

Wycofuję się tyłem, na palcach, czując pod stopami szczeliny pomiędzy klepkami parkietu. Czasem muszę nogą przesunąć na bok jakiś zmięty podkoszulek, zwiniętą w kłębek parę dzinsów. Przekraczając próg, delikatnie przyciągam do siebie skrzydło drzwi, które lekko skrzypi. Dopiero wtedy obracam się do Ani plecami i ruszam dalej, w kierunku jasnego czworoboku. Wyślizguję się na korytarz i delikatnie zamykam za sobą drzwi. Sprężyna w zamku strzela cicho.

Schodzę dwa piętra w dół, nigdzie się nie śpieszę. Schody są puste, korytarze wymarłe. Czasem podczas tych wielogodzinnnych wędrówek spotykam kogoś, w drodze do łazienki, do kuchni. Ciotki i kuzyni idą niepewnie, pod ścianami, hałasują każdym krokiem, co chwila coś trącają, patrzą na świat nieufnie, mrużą oczy i ziewają, nie zasłaniając ust. Kiedy dotrą do celu, najczęściej coś zrzucają, choć przecież tak bardzo starają się zachować ciszę. Wtedy właśnie złośliwe przedmioty wypadają z rąk na podłogę, drzwi skrzypią, a pod stopami pojawiają się rzeczy, które powinny stać spokojnie na swoim miejscu. Krzesła zastawiają drogę, kontakty zmieniają swoje położenie. Kiedy się mijamy, wymieniamy tylko półprzymotne spojrzenia, nie mówimy nic do siebie, a rankiem udajemy, że tych spotkań nie było. Nie ma do czego wracać, gdyż dokonały się w innym świecie; w innym nastroju, jak powiedziałyby mój brat. Dzisiaj jest spokojnie, cały Dom oddycha miarowo i równo, jeśli kogoś poza mną

nęka bezsenność, udaje, że śpi i tylko przewraca się w swoim łóżku, szukając dogodniejszej pozycji dla przyjęcia synów Hypnosa.

W korytarzu koło głównej kuchni napotykam drepczącego przy ścianie wujka Tomasza, szurającego kapciami po parkiecie, w gęstej, nieprzeniknionej ciemności szukającego drogi. Słyszając moje kroki, zastyga na chwilę, przywierając plecami do zimnego muru. Unosi głowę i kręci nią na wszystkie strony.

— Kim jesteś? — pyta.

To pytanie zawsze mnie paraliżuje. Kim jesteś, tym pytaniem, na poły wyszeptanym, na poły wykrzyczanym starym, suchym głosem zawsze stawia mnie pod znakiem zapytania. Czuję się przyłapany, nakryty we własnej grzeszności, chcący schować się za zakrętem korytarza, pod dywan, pomiędzy futra zastygłe w szafie. Kim jesteś, to bezradne pytanie starca dotyka mnie jak oskarżenie. Nerwowo szukam usprawiedliwienia, jak przyłapany na zakazanych zabawach smarkacz. Kim jestem, zaczynam się zastanawiać i nie znajduję odpowiedzi na to najprostsze pytanie. Dobrze, że nie widzi paniki, moich rozbieganych myśli. Ale uspokajam wujka Tomasza, jego napięta twarz się wypogadza, uspokajam go, sam nie mogąc uspokoić siebie. Z tego wszystkiego proponuję, że odprowadzę go do jego pokoju. Przystaje na to, zagubiony w wiecznej ciemności, pomiędzy piętami, z dala od swego łóżka. Poprawia frotowy szlafrok i wyciąga rękę w moim kierunku. Biorę go pod ramię i drobnym kroczeniem mozolnie przemierzamy drogę do jego sypialni. Wyczuwszy framugę, dziękuje mi i żegna się ze mną. Zamykam za nim drzwi i wracam do miejsca naszego spotkania.

Wujek musiał już doczłapać do łóżka, w swoim pokoju zna na pamięć każdy kąt, ale ja chodzę tam i z powrotem, wybity z rytmu, wytracony z własnej wędrówki. Lubię to poczucie, że jestem w Domu sam, sam na jawie pośród śpiących, że to ja krążę pomiędzy ich pokojami, pochylam się nad ich łózkami, wsłuchuję się w ich oddechy i z rozluźnionych

twarzą staram się wyczytać treść snów. Wtedy, w nocnych godzinach, kiedy życie Domu zamiera, czuję się jego panem i opiekunem, troskliwie przemierzam korytarze i klatki schodowe, w ciszy i ciemności władając tą podległą mi krainą śniących. Pojawienie się innych osób inaczej niż zagrzebanych w pościeli i bezbrinnie wystawionych na moje spojrzenie, pojawienie się na korytarzu pytającego: „Kim jesteś?” wujka Tomasza zabiera mi tę pewność siebie, sprawia, że rozglądam się nerwowo, moje dotychczas spokojne kroki tracą swą płynność, w każde stąpienie wkrada się drżenie. A może ktoś idzie za mną, a może ktoś mnie obserwuje, a może nasłuchuje zza swoich drzwi odgłosów mej wędrówki? Muszę się uspokoić, muszę przystanąć, przeczekać do następnego gongu, znieruchomieć i zniknąć, przekonać mych prześladowców o własnym nieistnieniu. Nie ma mnie, śpię, nie słyszycie mojego oddechu, nie słyszycie moich kroków, przywidziało wam się, wydawało się tylko, nigdy nie chodziłem nocą po Domu, nigdy nie nachodziłem was w waszych matecznikach. Czas gęstnieje jak smoła, chrapania przenikające pod drzwiami przywracają mi poczucie bezpieczeństwa. Ruszam.

Przechodzę przez salę kolumnową, pusta przestrzeń nade mną trwa w bezruchu. Stąd, obok kuchni, do sypialni babci Marii. Mam same babcie Marie, nasz Dom pełen jest starych Marii. Maria Wichrowa, matka mojej Matki, nazywana babcią Marysią, i Maria Chochołowa, matka mojego Ojca, nazywana babcią Marią, do tego jeszcze jej szwagierka, też Maria, i też Chochołowa, wdowa po wujku Szczepanie. Trzy Marie, a wszystkie po osiemdziesiątce, młodszych nie ma, nikt nie miał śmiałości, imię się wyczerpało.

Teraz do sypialni babci Marii, Marii Chochołowej. Jeszcze przed zakrętem słyszę niespokojne, nierówne chrapanie. Drzwi są otwarte, jak zawsze. Na wszelki wypadek, żeby zawołać którąś z synowych, jakby się coś działo. Wchodzę na miękki dywan, w powietrzu unosi się delikatny zapach starych ubrań i słodkich, niemodnych od lat perfum.